

TRYPTYK KRYMINALNY

GUZOWSKA
MARTA

**ZŁA
MIŁOŚĆ**

 WIELKA LITERA

[fragment książki](#)

Rozdział 1

Tamtego wieczora Sonia Marchlewska była z wizytą u koleżanek. Tak to sformułowali na stronie internetowej brukowca, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy specjalnie zatrudniają ludzi, którzy układają idiotyczne zdania. I jeśli tak, ile ci ludzie zarabiają, bo może powinienam się zainteresować. To na pewno potrafiłabym robić.

W każdym razie Sonia Marchlewska wybrała się do Brwinowa na spotkanie z dawnymi przyjaciółkami z liceum. Wszystkie chodziły do jednej klasy i – co podkreślił brukowiec – nie widziały się od matury.

Już samo to wydało mi się dziwne. Kto normalny spotyka się z koleżankami po dziesięciu latach przerwy? Po co? Żeby porównać zmarszczki? To raczej nie był problem Soni Marchlewskiej – jej chirurg plastyczny na pewno zadbał, żeby nie miała żadnych. Próbo- wałam sobie wyobrazić cel tego spotkania i jakoś nie potrafiłam.

Nie żeby mnie to obchodziło. Po prostu zabijałam czas. Chciałam doczekać do północy, żeby móc się położyć do łóżka i tam też zabijać czas liczeniem baranów i przewracaniem się na drugi bok. Od kiedy nie było Marcina, sypiałam źle i już się nawet do tego przyzwyczaiłam.

Niewykluczone, że Sonia Marchlewska chciała wkurzyć byłe przyjaciółki tym, co osiągnęła w życiu, a było tego całkiem sporo. Kojarzyłam jej nazwisko wyłącznie dlatego, że tak jak ja spędziła dzieciństwo w Brwinowie i chodziła tu do szkoły – telewizor włączamy tylko wtedy, kiedy ojciec schodzi z góry, a on ogląda głównie mecze. Reszta kraju na pewno doskonale wiedziała, kim jest Sonia Marchlewska. Brukowiec podawał szczegóły: jeden serial, drugi serial, trzeci serial, bo ten pierwszy spadł z anteny, dwie komedie romantyczne. Kiedy wyspecjalizowała się już w roli najlepszej przyjaciółki głównej bohaterki, przyszedł czwarty serial, tym razem kryminał z ambicjami, i Sonia Marchlewska dostała główną rolę. Jeśli nie tym zamierzała wkurzyć dawne koleżanki, najpewniej księgowe, pracownice w prywatnych firmach i być może nauczycielki, to ja nie wiem niczego o ludziach. A lubię myśleć, że jednak coś tam wiem.

Wiedziałam na przykład, dlaczego na spotkanie wybrały tamten dzień. Następnego zamknęli wszystkie kawiarnie, bary i wszystkie knajpy – wciąż nie wiadomo, na jak długo i czy otworzą przed świętami. Niektórych pewnie w ogóle już nie otworzą, bo padną. Jeśli Sonia Marchlewska i jej koleżanki z liceum miały się spotkać, nie mogły czekać.

Nadal jednak nie rozumiałam, dlaczego nie umówiły się wcześniej. Na przykład w lecie, kiedy można było zająć stolik w ogródku...

No, nieważne. Sonia Marchlewska zobaczyła się z nimi w kawiarni w Brwinowie. Ciekawe, czemu nie zaprosiła ich do żadnego modnego lokalu w stolicy, tylko wróciła na stare śmieci albo, patrząc na to z innej strony, weszła na ich terytorium. Chociaż brukowiec

o tym nie pisał, wiedziałam, dokąd poszły. W tej dziurze jest tylko jedno miejsce, gdzie można się napić przyzwoitej kawy w kulturalnych warunkach.

Świadkowie (to znaczy wszyscy, którzy się tam wybrali ostatniego wieczora przed lockdownem) twierdzili, że nieźle się bawiły. Spotkaniu towarzyszyły wybuchy śmiechu. Tak, zdecydowanie mają w tym brukowcu kogoś od konstruowania sztamkowych zdań, może nawet cały zespół.

Po tych wybuchach śmiechu okazało się, że kawiarnię w Brwinowie zamykają o dwudziestej. Panie były na to najwyraźniej przygotowane, bo kwadrans przed zadzwoniły do lokalu w Podkowie Leśnej, otwartego normalnie do dwudziestej drugiej, ale w ostatni wieczór przed lockdownem do północy. Dziennikarz z brukowca dotarł nawet do pracownika tej drugiej kawiarni, studenta zatrudnionego na śmieciówce lub na jedną tysięczną etatu, który nie wie, co ma ze sobą zrobić, od kiedy zamknęli uczelnie. Dzięki temu dowiedziałam się, że Sonia Marchlewska i jej koleżanki podjechały pod kawiarnię jednym samochodem, jednak odjechały już osobno. Po zamknięciu lokalu gwiazda nie odwiozła ich do domu, skazując je na taksówkę lub – co bardziej prawdopodobne, bo trudno znaleźć taksówkę w tamtej okolicy – na zasuwanie na piechotę. Wsiadła w swoje trzydrzwiowe audi koloru gołębi metallic (brukowce nie oszczędzą człowiekowi żadnych szczegółów) i ruszyła w stronę Warszawy.

Między Podkową Leśną a Pruszkowem przy drodze właściwie niczego nie ma oprócz tego, co normalnie można wypatrzeć przy warszawskiej wylotówce: dużo reklam, kilka sklepów, pałacyk, który jest kopią jakiegoś

pałacyku z Łazienek (choć nie na tyle ciekawą, żeby sprawdzić to w Google'u). Był kiedyś supermarket, ale zamknęli, za to otworzyli sklep dla zwierząt. Kupuję tam żarcie dla Loli, bo blisko i zawsze jest miejsce na parking. W Helenówku stoi fabryka L'Oreala, kawałek dalej firma ogrodnicza. Poza tym pola, krzaki, drzewa i jeszcze jeden czy dwa sklepy z hydraulicznymi złączkami, basenami ogrodowymi i silnikami do łodzi motorowych, czyli rzeczami, których nie kupuje żaden normalny człowiek. Oraz więcej pól, krzaków i drzew.

Ten student z knajpy w Podkowie Leśnej powiedział dziennikarzowi z brukowca, że kobiety zamówiły tylko po kieliszku prosecco. Tym trudno się upić. Poza tym piły jesienną mieszankę herbat (specjalność lokalu), a jedna z nich (student nie pamiętał która – na pewno nie Sonia) cappuccino. Wszystkie jadły ciasta; Sonia tort bezowy z owocami.

Podniosłam wzrok znad ekranu i spędziłam chwilę na rozważaniach, jak to jest, że niektórzy mogą jeść, co chcą, i nie tyją. Bo o Soni dało się powiedzieć wiele: na przykład to, że była głupią gwiazdeczką z parciem na ekran i wodą sodową zamiast mózgu, ale figurę miała nienaganną.

Otuliłam się mocniej swetrem. Ogrzewanie kosztuje, więc nie włączałam najdłużej, jak się dało. W rogu ekranu migiała reklama pączków. Przełknęłam ślinę i skoncentrowałam się na artykule.

Wynikało z niego, że Sonia wypiła tylko kieliszek słabego alkoholu, do tego rozcieńczony herbatą, na podkład z ciasta. Tak, znam przepisy, jednak chyba jeszcze nie było takiego przypadku, żeby ktoś stracił panowanie nad samochodem po jednym prosecco.

A Sonia Marchlewska, niecały kilometr po tym, jak skręciła w stronę Warszawy i minęła już szrot samochodowy, ale jeszcze przed przedszkolem i stacją benzynową, wpakowała się na drzewo.

Rozdział 2

Brwinów to obiektywnie bardzo przyjemne miasteczko. Nie tak szykowne jak Podkowa Leśna albo Milanówek, ale też nie tak niehumanitarne. Nie przypomina ani szarego, zabudowanego blokami Pruszkowa z mafijną przeszłością, ani nijakiego Piastowa. Dużo tu starych domów i – co o wiele ważniejsze – starych drzew, na które, przynajmniej na razie, urząd miasta nie rzuca się z piłą. Prawie wszyscy mają ogrody, a osiedle bloków niedaleko stacji, które liczy więcej lat niż ja, zdążyło dorobić się własnego starodrzewia i całkowicie wtopić się w okolicę. Nowe blokowisko położone jest z kolei na tyle daleko, że nikt nie musi go oglądać na co dzień, za to blisko galerii handlowej. No, ale jak ktoś chodzi tam na zakupy, sam jest sobie winien.

Stare budynki, nie tylko te sprzed wojny, ale też z lat siedemdziesiątych, są podniszczone w sposób przyjemny dla oka, jak wygodne kapcie, których nie chce się wymienić na nowe. Co gorsze fragmenty zasłonięte są przez krzaki, tak samo jak większość zachowanych szczytów mazowieckich, zardzewiałe bramy i zaniedbane podwórka. Od czasu do czasu zdarza się, że ktoś kupuje jedną z przedwojennych willi i pięknie ją odnawia, podczas gdy reszta, jeszcze piękniejsza, powoli obraca się

w ruinę. Kiedy chodziłam do szkoły, plotki głośniły, że w jednej czai się ekshibicjonista.

Asfalt na ulicach jest połatany, jednak tu też dotarła cywilizacja i w wielu miejscach położyli progi zwalniające. Kostka Bauma, którą miasto uparło się wykładać nowe chodniki, nie wygląda zbyt pięknie, ale i tak wiadomo, że z czasem porośnie brudem i trawą, wtapiając się w krajobraz.

Obiektywnie więc miasteczko jest bardzo przyjemne, a do tego korzystnie położone. Od kilkunastu lat, gdy już wyremontowali przelotówki, do centrum Warszawy za dnia jedzie się niecałą godzinę, a nocą zdarza się i pół godziny. Jest też stacja kolejowa. Pociągi, co prawda, kursują nie za często, jednak jazda do centrum trwa trzydzieści minut, a z pobliskiej Podkowy jeździ wukadka – dłużej, ale za to częściej i taniej.

Pewnie dlatego w ostatnich latach do Brwinowa ściągnęło tyle osób. Na szczęście nie aż tak dużo, jak do okolicznych siół, bo Żółwin czy Nadarzyn wciąż przeżywają eksplozję nowych osiedli, domów i filii Żabki. U nas to wszystko trzymało się jakoś w ryzach. Miasteczko łagodnie przeszło przez transformację ustrojową w latach dziewięćdziesiątych i przez kolejne kryzysy na początku nowego wieku. Wprawdzie już nie każdy napotkany mieszkaniec mówi „dzień dobry” mojemu ojcu, jak wtedy, gdy jako dziecko chodziłam z nim za rękę, ale co trzeci już tak, a Żabki mamy tylko dwie.

Miasteczko z duszą. Żadne anonimowe nowe osiedle. Zawsze było jak zaczarowane. Stanowiło zamknięty krąg, w którym nie może się wydarzyć nic złego, a w każdym razie nic naprawdę złego. Miejsce, gdzie dzieci ciągle jeżdżą rowerami po ulicach, ludzie nadal

mają oko na sąsiednie domy i wpadają do siebie na kielicha, a po zakupy chodzi się na piechotę. Jak w pieprzonym amerykańskim filmie.

Nienawidzę go.

Nienawidziłam tego miasteczka już w dzieciństwie, kiedy śmigałam na wrotkach po nierównym asfalcie i wracałam sama ze szkoły, bo nikt nie przyprowadza i nie odprowadza dzieci, którym nie może się przytrafić nic złego. Nienawidziłam, kiedy bawiłam się w piaskowych lejach po wojnie, w których – jak głosiła legenda miejska – ciągle kryły się niewybuchy. Nienawidziłam tych krążących historii: kolega mojego kolegi (nigdy mój kolega!) wrzucił granat do ogniska i urwało mu palec/dłoń/całą rękę. Nienawidziłam mówić na ulicy „dzień dobry” rodzicom moich koleżanek, przewidywalnym jak ruchy planet, których każdego dnia można było spotkać o tej samej godzinie w tym samym miejscu, i „niech będzie pochwalony” siostronom zakonnym z miejscowego oddziału Caritasu.

Uciekłam, kiedy tylko mogłam. Na studiach trakto- wałam dom rodziców jak sypialnię i zazdrościłam wszystkim, którym przysługiwało miejsce w zapyzia- łym akademiku na Kicu. A potem złapałam pierwszą pracę i poznałam Marcina mieszkającego w kawalerce. Do Brwinowa wpadaliśmy czasem w weekendy, częściej, kiedy urodziła się Miśka, a jeszcze częściej po śmierci matki. Nigdy jednak nie myśleliśmy o przeprowadzce. Przeciwnie, wzięliśmy horrendalny kredyt i kupiliśmy mieszkanie w Warszawie. Wszyscy znajomi, którzy ra- zem z nami przyjeżdżali czasem do Brwinowa na grilla, zachwycali się świeżym powietrzem i zielenią, jednak ja nigdy nie przestałam kochać anonimowych ulic

i smrodliwego powietrza stolicy, uchodzącej za najbrzydsze miasto w Polsce.

I było tak pięknie, dopóki wszystkiego nie trafił szlag. Marcin zarabiał dużo i dostawał przelew co miesiąc. Bez niego nie byłam w stanie spłacać kredytu. Sprzedałam mieszkanie i z podkulonym ogonem wróciłam do ojca.

Czy to nie jest upokarzające, kiedy czterdziestolatka znowu musi mieszkać w swoim pokoju z dzieciństwa?

Przeczytaj [więcej](#) o książce:



Sprawdź nasze [NOWOŚCI](#)
Zapraszamy na wielkalitera.pl